

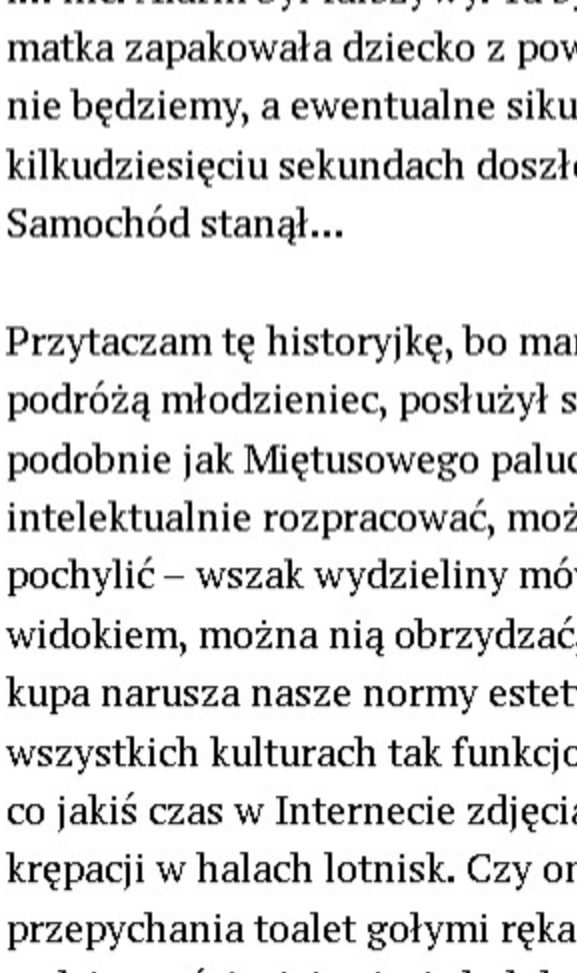
Kupa

**JOANNA OSTROWSKA**

Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu

Lubię to!

A A A



Fot. Jakub Wittchen

podciągnięte, dziecko ponownie zapakowane w fotelik i dalej w drogę! Po trzech minutach okrzyk z tylnego sedzenia się powtórzył. Stawianie, wypinanie z fotelika, ściąganie majtek i... nic. Alarm był fałszywy. Ta sytuacja powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie, aż zdeperowana matka zapakowała dziecko z powrotem w pieluchę i zapowiedziała, że już się zatrzymać nie będziemy, a ewentualne siku ma być oddawane na miejscu. Ruszyliśmy, a po kilkunastu sekundach doszło do nas z tylnego sedzenia pytająco-testujące: „Kupa?”. Samochód stanął...

Przytaczam tę historyjkę, bo mam poczucie, że dość podobną taktyką, jak ów znudzony podróżą młodzieniec, posłużył się w swoim debiutanckim tekście Werner Schwab – kupę, podobnie jak Miętosowego palucha w nosie, zignorować nie sposób. Kupę można aktualnie rozpracować, można się nad nią z niesmakiem skrzywić (bądź z troską pochylić – wszak wydzielinę mówią wiele o naszym zdrowiu), można się oburzyć jej widokiem, można nią obrzyzać, ale zignorować nie można. Kupa śmierdzi, kupa brudzi, kupa narusza nasze normy estetyczne oraz obyczajowe. Nasze, czyli europejskie, bo nie we wszystkich kulturach tak funkcjonuje, czego dość wymownym przykładem są zamieszczane co jakiś czas w Internecie zdjęcia mieszkańców Państwa Środka, wypróżniających się bez krepacji w halach lodzisk. Czy oni podobnie jak my reagowaliby na pasję Maryjki – przepychania toalet gólnymi rękami? Czy w krajach, w których brud, smród i ubóstwo są codziennością, jej zajęcie byłoby czymś dziwnym? Schwab zdaje się grać nie tyle z uniwersalnymi ludzkimi odczuciami dotyczącymi fizjologii, co z pewną formacją kulturową, na której skatologia może jeszcze zrobić silne wrażenie. Czy jest to nadal, w dwadzieścia sześć lat po powstaniu tego tekstu, skuteczna metoda wytrącania z przewyżczajei widzowskich? Bo przecież, o czym starają się przekonać autorzy programu do *Prezydentek* w Teatrze Nowym, ma ona całkiem długą tradycję w kulturze europejskiej. Przecież, jakim się umieszczenie dramatu Schwaba w kontekście fraszek Kochanowskiego, Morsztyna, Słomczyńskiego czy Szymborskiej, wyrzywa się go z szuflady „nowi białeści” i umieszcza w kontekście „tradycji kultury europejskiej”. Tak właśnie rozbraja się kupę! Tak to się robi w Poznaniu, najbardziej wszak drobnomieszczańskim mieście w Polsce.

Bohaterkami *Prezydentek* są trzy kobiety będące reprezentantkami „*très petite*” *bourgeoisie*, a przecież, jak można powtórzyć za Helen Fielding „to zdumiewałyby, jak panie z klasy średniej potrafią wszystko ukształtować na własną modłę, przemieniając chaos i zamęt świata w słizny, bezpieczny, maminy strumyczek – tak jak spluczka w toalecie wszystkich barwi na różowo”.

Nie jestem wielbicielek! tekstu Schwaba; dwie wcześniejsze inscenizacje *Prezydentek*, które widziałam, nie pomogły mi znaleźć odpowiedzi na pytanie, które w tekście zamieszczonym w programie poznańskiego spektaklu zadawał Jacek Uglik: „czego tłumy reżyserów, aktorów i jeszcze większe tłumy odbiorców szukają w jego sztukach?”. *Prezydentki* były dla mnie wypowiedzią zaprojektowaną tak, by nie można jej było zignorować, testem, jak wiele widzowie skłonni są przyjąć i jak daleko można się wobec nich posunąć. Historia o strasznych mieszkankach zdaje się osobistym odreagowaniem autora, a równocześnie pretekstem do podjęcia sprawy ważniejszej – relacji między światem przedstawionym a realnymi widzami. Lecz właśnie jedynie pretekstem, katalizatorem, a nie zajęciem stanowiska; testem mieszczańskiej widowiny, gestem prawie gogolowskim. Bo w końcu z kogo tak obficie i rzęsiście śmiali się widzowie zarówno *Prezydentek* Lupy, Dutkiewicza, jak i Kruszczyńskiego? Ty, co mnie nie przekonywało do dwóch wcześniejszych inscenizacji, było „granie na kumę”, z czego wynikała jednowymiarowość postaci w ich obrzydliwości. Nie przypominały one ludzkich istot (jakkolwiek małe i straszne by nie były) a mieszczańskie karykatury z teza.

Klimat wokół mieszczań zaczyna się ostatnio zmieniać i być może dlatego w poznańskiej realizacji *Prezydentek* stało się coś, co przybliżyło mnie do zrozumienia, dlaczego zachwyca, skoro nie zachwyca. Może stało się to dzięki nobilitowaniu mieszczańkości, do czego ostatnio wydarzenia artystyczne w Poznaniu przyczyniły się walnie, ale trzy „prezydentki” z Teatru Nowego zaprezentowały jakiś fascynujący ludzki i prawdziwy rys postaci. Jest to zasługa reżysera Piotra Kruszczyńskiego, lecz przede wszystkim trzech rewelacyjnych aktorek: Danieli Poplarskiej (Renata), Bożeny Borowskiej-Kropielnickiej (Irena) oraz Małgorzaty Łodej-Stachowiak (Maryjka). Skoro aktorstwo jest sztuką przemianą, to owe aktorki spełniły się w owej sztuce całkowicie. Dwie pierwsze z nich były wręcz fizycznie niepodobne do siebie w zwykłych i nie była to wyłącznie zasługa charakteryzacji, choć ta miała w niej też swój udział. O ile Renata skryła Poplarską za maską ciężkiego makijażu i tandetnej blond fryzury, to już od samej aktorki pochodził lekko wulgarny, lekko pogardliwy, lecz równocześnie podszyty pretensjonalną elegancją wyraz twarzy postaci. Było to tak odmienne od ostatnich wcieliń Poplarskiej i ujawniło (a może przypomniało), jak bardzo wszechstronną potrafi ona być aktorką. Równocześnie – i odnosi się to do wszystkich trzech aktorek – z wielkim wyczuciem gospodarowały one tym, co nadawało ich postaciom rysów komicznych: żądnych przerysowań, żelazna dyscyplina wyrazu, środki subtelne, ale skuteczne. Zaledwie zbyt wyraziste wymawianie słów przez Poplarską miało pokazać, że Renata jest kobietą „elegancką” i na „poziomie”, bo potrafi się „wysłowić”. Co prawda temu celowo projektowanemu słowami wrażeń przeczyl strój Renaty – wyzywający i komiczny zarazem przez swoje niedopasowanie zarówno poszczególnych elementów do siebie, jak i do samej Renaty.

Równie fascynująca jest fizyczna przemiana Borowskiej-Kropielnickiej. Nagle stała się dużo starsza, niż jest w rzeczywistości, usta zapadły się gdzieś w głąb jej twarzy, nadając jej wyraz zaciecia i wiecznej dezaprobaty. Ciało jakby się jej rozpuхло i sprawiło wrażenie, iż Irena trudno nim operować, że jest to ciało bardzo zmęczone.

To między tymi dwiema sąsiadkami początkowo toczy się cała akcja, której ton nadaje Irena. Irena to kobieta, która nie ma wątpliwości, jak świat powinien wyglądać. Dlatego jest tak bardzo kategorierna w relacjach ze swoimi koleżankami. Widać to tym wyraźniej, że spotkanie odbywa się na jej terenie: towarzyszy im jej lodówka, jej fotel, jej stół, jej telewizor i dlatego wszystko, czyli głównie inni ludzie, powinni postępować tak, jak ona tego chce. Dotyczy to zarówno obecnych Renaty i Maryjki, jak i jej syna Bogusława, który – o czym jest przekonana – na złość matce unika „stosunków”, choć przecież miał wiele okazji. Stosunek mógłby zakończyć się wnukiem, którego posiadanie jest w tej chwili największym pragnieniem Ireny. Wnuk jest jej potrzebny jako potwierdzenie, że na świecie wszystko toczy się tak, jak trzeba: jak mężczyzna staje się dorosły, to odbywa stosunki, z których są dzieci, bo takie jest odwieczne prawo natury. To właśnie gwałcenie odwiecznych praw natury tak bardzo boli Irenę i Renatę, której córka – zanim wyjechała na stałe za granicę i przestała utrzymywać z matką kontakt – kazała sobie wyciąć „wszystko, co jest potrzebne na wnuka”. „Prawa natury” rozumieją one dość szeroko, ponieważ gwałcenie córki przez jej męża Renata nazywa „karaniem”. Jest to jedyny moment w spektaklu, kiedy spod oleśno-obrzydliwej codzienności wychyla się prawdziwy dramat. Renata przez chwilę przestaje sprawić wrażenie zadowolonej z siebie kobiety. Dzieje się to znów za sprawą gry Poplarskiej, która w ułamku chwili potrafi spod prymitywno-pretensjonalnej powierzchowności Renaty wydobyć chwilę prawdziwej rozpacz. To tylko moment, za chwilę wszystko zabarwi się znów na różowo.

Narzekańa na rodzinę i dzieci są tym, co wiąże ze sobą Irenę i Renatę. Maryjka płacze się gdzieś na obrzeżach ich relacji, co widać choćby po jej przemieszczaniu się w przestrzeni: wchodzi wzdłuż ścian, wychodzi na proscenium, rzadko natomiast jest blisko pozostałych. W wykonaniu Łodej Maryjka jest lekko opóźniona, lecz stara się być jak najbardziej podobna do koleżanek. Brak jej jednak podobnych doświadczeń, które mogłaby bez kłopotu wpieść w ich potoczno-życiowe narracje. Dlatego cały czas jest z boku, lekko ignorowana. By znaleźć się w centrum ich zainteresowania, ucieka się do tego, czego ignorować nie można – wyciąga na wierzch swoje „kupowe” fascynacje. Renata usiłuje je zneutralizować, wtrącając historie o kupkach Lidzi-jamniczki, które przecież wcale nie są obrzydliwe, bo Lidzia nic obrzydliwego nie jada. Neutralizacja się nie udaje i konfrontacja wisi w powietrzu, bo Maryjka z coraz większą fascynacją opowiada o swoim hobby.

Akcja poznańskiego spektaklu rozgrywa się trochę tu, w Poznaniu – mieście za zasłoniętymi firankami, trochę teraz, a trochę gdzie indziej i w innych czasach. W pierwszej scenie kobiety oglądają mszę odprawianą przez papieża – „tego” papieża, potem Renata, mówiąc o „naszym prezydencie”, który miał rację, znacząco wskazuje palcem i wzrokiem niebo, co stanowi czytelny sygnał, o którym też przyjdzie mowa. Równocześnie jednak kobiety mają fryzury, które raczej przypominają te łączone z Niemcami lat 40., a kiedy chcą się wzajemnie obrazić, wyzywiają się od „hitlerówek” i „żydowskich kurew”.

Ten brak dookreślenia czasowo-przestrzennego mógłby razić, gdyby nie to, że reżyser Piotr Kruszczyński w swojej interpretacji wyszedł zdecydowanie poza socjologizująco-prześmiewczy obraz pewnej formacji. Kiedy konflikt między kobietami zaczyna przybierać na sile, jedna z brudnoróżowych ścian mieszkania Ireny nagle się przewraca. To, co początkowo wyglądało na wypadek spona świata przedstawionego, okazuje się początkiem demolowania własnego życia przez Irenę i Renatę. We wsćiekłości zrywają tapety, rozwalają kolejne ściany, wyrwają meble. Jak widać, je też ten „porzundny” świat przytłacza, więc zaczynają go rozsadać. A kiedy go zdemolują, kiedy rozepchną duszące je ściany, kiedy wyrwąć wszystko do góry nogami, mogą sobie pozwolić na marzenia, na które w ich zwykłym życiu nie ma miejsca. Marzenia o innym człowieku: rzeźniku Wótkem, który wtróbianką mógłby na zabawie wymalować serce na drzwiach jako wyraz miłości do Ireny, albo o silnym Fredku, który pokocha Renatę i wyrwie ją z tandetnego życia.

Te marzenia znów oddalają obie kobiety od Maryjki, więc postanawia ona o sobie przypomnieć i znów w sposób, którego nie można zignorować. Ale ponieważ jej opowieść o przybywaniu z zatkanych toalet kolejnych przedmiotów ukrytych tam przez księdza proboszcza nie jest w stanie wyrwać jej koleżanek ze świata ich własnych marzeń, Maryjka wzbbraną falą wlewa się do nich z własną kloaką. Tapła we własnej fascynacji gównem ich marzenia o mężczyznach. Jedyny mężczyzna, jaki gości w marzeniach Maryjki, to ksiądz proboszcz, ale jego nie można włączyć w narrację o upragnionych (nawet niewinnych) relacjach damsko-męskich. Maryjka, nie mogąc się przyłączyć do marzeń, postanawia niszczyć. Łodej prowadzi swoją postać tak, jakby nie do końca zdawała ona sobie sprawę, jak niebezpieczną grę zaczyna prowadzić. Maryjka mówi tak, jakby sama poddała się fascynacji władzą, jaką przypadkiem zdobyła nad koleżankami, dlatego traci instynkt samozachowawczy. Ożywia się, część swoich kwestii wypowiada z widowiny, spomiędzy widzów, tak jakby chciała nam pokazać: „Spójrzcie, jaką moc może mieć odpowiednio użyta kupa”. Niesiona własną opowieścią, nie zauważa momentu, w którym Irena i Renata nieruchomieją. Dają jej mówić, bo mają spokojną pewność, że w ostatecznym rozrachunku i tak to one zwyciężą.

Tomasz Plata, kurator projektu „My, mieszczenie”, w rozmowie z Arkim Gruszczyńskim przekonywał, że „rewolucje burżuazyjne były w dysponowaniu przemocą fizyczną dość oszczędne”. Nie bardzo potrafię tę „oszczędność” odnieść do Wielkiego Terroru Rewolucji Francuskiej i jej prawie trzystu tysięcy ofiar, ale co tam. Mieszczenie jako „skuteczna formacja” są obecnie cool. Jakby na potwierdzenie tej Platy w ramach oszczędnego dysponowania przemocą Irena i Renata nie planują najazdu na Polskę czy stworzenia obozów koncentracyjnych, tylko spokojnie i skutecznie przynajmniej gardło Maryjce. Świat wraca do równowagi. A woda w spluczce zabarwia wszystko na różowo.

Kruszczyński razem ze swoim zespołem przygotował bardzo dobry spektakl, który jest czymś więcej niż rzucaniem w widzów słów o kupie. Pokazuje, że pod warstwą kloaki kryje się historia o kobietach, która może dostarczyć nie tylko powodów do kpín i obrzydzenia. Spektakl Kruszczyńskiego ostrzega: strzeżcie się starszych pań z mieszkán skrzytych za gęstymi firankami, one także mają swoje marzenia. I niekoniecznie muszą one dotyczyć wyłącznie ambicji ekonomicznych.

3-04-2015

Teatr Nowy w Poznaniu
Werner Schwab
Prezydentki
przekład: Monika Muskała
reżyseria: Piotr Kruszczyński
scenografia, kostiumy, światła: Justyna Lagowska
muzyka: Jacek Kita
obsada: Bożena Borowska-Kropielnicka, Małgorzata Łodej-Stachowiak, Daniela Poplarska
premiera: 07.03.2015

TAG: Justyna Lagowska, Piotr Kruszczyński, Werner Schwab, Jacek Kita, Poznań, Teatr Nowy im. Tadeusza Łomnickiego,

Udostępnił

Lubię to!

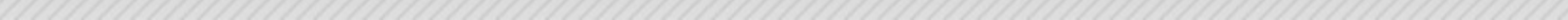
SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:
trzy plus dziesięć jako liczbę:



KOMENTARZE (10)

 Aniela | 2022-05-27 15:29:13 » Cytuj

Chytrze zrobiona sztuka w której widz ma poczuć wstręt do wartości religijnych. Jest także wątek polityczny. Oszukańczy tytuł sztuki "Prezydentki" nie ma nic wspólnego ze sztuką, odnosi się tylko do jednego zdania wypowiedzianego przez Prezydenta i wyśmiania tego. Ogólnie totalne dno !!!!!!!

 Milena | 2022-05-24 22:59:18 » Cytuj

Spektakl prymitywny, wulgarny i ordynary. Jak można tak traktować widza?, który przychodzi i ma ochotę przeżyć i zobaczyć coś fajnego, może śmiesznego, groteskowego lub nawet nalignolijnego, ale z gustem i klasą...Strata czasu i pieniędzy. Nie polecam. Najgorszy spektakl, w którym byłam (a trochę już widziałam na różnych scenach).

 Anka | 2022-04-12 12:22:54 » Cytuj

To był pierwszy raz kiedy naprawdę chciałam wyjść z teatru. Proste dialogi pokazujące prymitywizm ludzi, przepełnione ordynarnym językiem i przedmiewczymi elementami wiary. Meczylam się siedząc w trakcie spektaklu. Z medycznego punktu widzenia, jeżeli autor wzorował się na autentycznych charakterach, to Pani Renata ma cechy mocno wskazujące na w kierunku schizofrenii, a Maryjka ma niedorozwój umysłowy. Jedyna osoba która miera się w zakresie wskazujące na normy zdrowia psychicznego to to Pani Irena, która jest po prostu bardzo prosta osoba. To był mój pierwszy spektakl po 2 latach przerwy Covidowej i bardzo się zawiódłam... W zasadzie było mi szkoda aktorek których gra była bez wątpienia niesamowita, aczkolwiek szkoda że musiały grać takie własne role. Przykro mi to stwierdzić ale straciłam tylko na tym czas.

 Joanna | 2016-02-15 20:25:21 » Cytuj

Wspaniała gra aktorek. Coś o kloacznej kondycji współczesnych ludzi. Polecam, nie rozumiem poniższych komentarzy.Brawo!!!!

 Zrozpaczony widz | 2021-10-03 21:45:10 » Cytuj

Ordynarne, nudne, ani krztynę nie zabawne. Poniżej wszelkiego poziomu, raniące uczucia religijne i poczucie dobrego smaku. Prostactkie i wulgarne.